№ 11. Warszawa, dnia (4) 17 Marca 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . rs. 1	kwartalnie . . rs. 1.25
Za odnoszenie do domu kop. 10.	półrocznie . . „ 2.50
	rocznie . . . „ 5 —

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: **We Lwowie i Krakowie:** Kwartalnie **flor. 1.80.** Na prowincyi **flor. 2.20. W Poznaniu** kwartalnie **mr. 3,** na prowincyi **mr. 3.75.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie **rs. 1 kop. 60,** lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: **we Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; **w Krakowie** Księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** Agencya główna na Niemcy **Księgarnia Świętego Wojciecha** w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** **„Nadesłane”** wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika” — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał drugi roku 1900.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści” w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

SEWER.

LEGENDA.

(Dalszy ciąg).

Pobiegła prosto do ogrodu. Niebo bez chmurki zapowiadało suszę, podlewała grządki. Przyszedł kierownik, pomagała mu sadzić kapustę. Przemyśliwali oboje, jakim sposobem przesadzoną osłonić od palących promieni słońca. Zosia wpadła na myśl, aby wyjąć z płotu kilkanaście gałązek tarniny, obłożyć niemi grządki zasadzonej kapusty i zrobić dach z liści i słomy.

— Lecz pierwej trzeba dobrze podlać wodą—rzekł nauczyciel.

Powaga nie odstępowała go w towarzystwie Zosi.

— Dobrze, zaraz to uczynię — pan tymczasem przysposobi gałęzie.

— Udźwigniesz pani konewkę wody?

— Patrz pan, trzy już grzędy dziś podlałam.

— Pani sama?..

— Ej, mocne to i pracowite dziecko — odezwała się przechodząca kobieta, przykładając twarz do szczebli furtki. — Wczoraj do późna w nocy pisała, rano była na mszy świętej, a teraz w ogrodzie.

— Zkądże to wiecie, matusiu — zagadnęła zdziwiona Zosia.

— Zkąd?.. oczy ludzkie wszystko widzą, jeśli ino chcą! I najgrubsze ściany nie zasłonią przed niemi. Ej, ej, udała się nam „nowa.“ Moja dziewucha poleciałaby za nią w piekło. A jeśli ją dzieci lubią, to już musi być dobra jak miód. Nikt lepiej od dziecka nie odgadnie dobrego.

— Czy czego chcecie, matusiu?— przerwało dziewczę, domyślając się za pochwałami prośby...

— A czegóżbym to miała chcieć... Panienka pewno se myśli, że ino dla tego schlebiam, by czegoś chcieć. Wracam z kościoła, stanęłam i patrzę. Niczego nie chcę, a jeśli mówię, to prawdę z dobrej woli.

— To ja mam do was prośbę, tylko przyjdźcie tu do mnie.

Kobieta otworzyła furtkę i ciekawie podeszła do Zosi.

— Zostało nam trochę flanców buraczanych ćwikłowych, wybornych na barszcz i do jedzenia. Weźmiecie?

— A gdzież posadzę?!..

— Gdzieniebądź między kapustą a ziemniakami. Miejsca dużo nie zabiorą, kapuście nie zaszkodzą. Prawda, panie profesorze?—zwróciła się do kierownika.

— Prawda, kapusta idzie w górę, buraki w dół.

— Zawinę wam w liście łopucha, zmoczę w wodzie, to i nie wyschną.

— Jeśli wola i łaska, sprobuję.

Zosia spojrzała na Jana.

— Czy pan profesor pozwoli?

— Z przyjemnością, proszę pani, wybierz pani najładniejsze.

— Dobrzyście oboje, okrutnieście dobrzy...— powtarzała cicho kobieta.

Zosia przyniosła liście łopucha, kładąc na nie wysadki.

Kobieta usiadła przy niej na ziemi.

— Buraczki się zdadzą na zimę i nać z nich dobra i do zakiszenia jedyne. Będę ci też moja złocista błogosławić. A zkądżeś się wzięła taka dobra?

— A to mi dobroć, dać trochę wysadków nie swoich i za to nasłuchać się tyle pochwał, powiedzcie sami gosposiu?

— Innejby ani przez myśl nie przeszło.

— Takie już mam latające myśli i to wszystko.

Obdarowana błogosławiąc oboje odeszła.

— Ofiara tej odrobiny wysadzek wprowadza mnie w bezpośredni stosunek z matkami. Panie Janie, wszystkie pozostałe rozsadki rozdajmy dzieciom, niech je zaniosą do domu i same sobie opakują. Pierwszy serdeczny krok do ludu—i pójdziemy dalej...

— Pragnę i ja zbliżyć się do ludu, lecz mi nie idzie...

— Pomagajmy sobie wzajemnie, byle ostrożnie...

Jan się wyprostował i raptem zapytał:

— Dlaczego pani jesteś dobrą?..

— A pan dlaczego?.. Jeśli ludziom wody nie mącę, to dlatego, że nie mogę. Nie jest to moja zasługa, tylko mej kultury. Każe mi być taką a nie inną. Jestto prawo, które mną rządzi i jest po nademną. Wierzę, że to samo prawo rządzi i panem. I oboje zawdzięczamy stan ten rodzicom, otoczeniu, wychowaniu, a troszeczkę i sobie. A więc sądź mnie pan bez żadnych moich zasług. Mam i ja wady! W stosunku do ludzi jestem dumna, daję im co mogę, lecz nic nie przyjmuję od nich. Nie znoszę wdzięczności. Wdzięczność, którą muszę mieć, jest mi ciężarem, klęską.

Profesor posmutniał, oczy zaszły mu mgłą żalu.

— Czy odstąpienie pani bawialnego pokoju!..

Zosia zobaczyła smutek i mgłę zasłaniającą oczy.

— Ależ nie pomyślałam o tem—zawołała.— Odstąpienie pokoju uważam za koleżeński obowiązek i nic więcej. Wcale się nie czuję przygniecioną dobrodziejstwem waszem... Bo gdzieżbym się podziała? Musieliście mnie ugościć, a ja musiałam gościnę przyjąć. Mus wyklucza dobrodziejstwa i wdzięczność. Jesteś pan podejrzliwy, ja zaś pragnę być zawsze szczerą, prócz głębin mego serca i mych myśli. Przeczuwam z podejrzliwości pańskiej, że nieraz będziemy mieli starcia, które dla obojga nie będą przyjemne.

— Postaram się poprawić — rzekł zawstydzony, układając tarń na grzędzie zasadzonej kapusty.

— Czy możesz się zmienić?..—zapytała raptownie i w tej chwili dodała: — Dobrze - zgoda, a teraz przyniosę liści łopuchu, a pan słomy.

Zasłaniali delikatnie liśćmi omdlałe flance kapusty.

— Trzeba wątłym roślinkom zostawić dużo powietrza i światła.

— Rośliny również jak ludzie bez światła i powietrza schną, nieprawdaż?—spytała.

— Przerwaliśmy ciekawą rozmowę.

— W której się spowiadałam z grzechów— dokończyła Zosia.—Pozna je pan bliżej w akcyi, w życiu. Mam fantazye, potrafię nawet wybuchać.

— Proszę moich pracowników na śniadanie — biegł z okna głos Józi. — Zapowiadam świeże masło i świeży chleb. Chodźcie—herbata rozlana.

— Chodźmy! jestem głodna. Wczoraj długo w noc czuwałam. Czytałam list, zmęczył mnie; spałam nerwowo, obudziłam się wcześnie i jako znak odzyskanej równowagi zjawia się apetyt.

— Jesteś pani świeża, uśmiechnięta, jak gdybyś spała dziesięć godzin i nie miała żadnych trosk, a życie słało ci róże pod nogi.

Weszli do pokoju zastawionego śniadaniem. Józia promieniała.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Plon konkursowy.

IV.

Maryan Zbroski: „Wyzwolenie.“—M. Remiszewska: „Noc Świętojańska.“

W czarnej zbroi pessymizmu życiowego wystąpił w szranki autor „Wyzwolenia.”

Oswobodzony z ciała, w zaświatowych już przestrzeniach duch poety przypomina ziemską pielgrzymkę. Uczucie wyzwolenia, uczucie iż spadły zeń nieznośne więzy, dyktuje mu pierwsze, najpiękniejsze może z całego poematu słowa wstępu. Jest w nich jakieś ogromne zadziwienie i oczekiwanie, i ulga głęboka—są wspaniałe obrazy. W blizkości ziemi, a już po nad ziemią kołysze się duch.

Oto się ciała pozbyłem ciężaru,
Które człowiekiem zwano tam na świecie
Teraz przedemną cicha toń bezmiaru,
Niepokojącej pełna tajemnicy;
Za mną, jak zwiędłe i bezwonne kwiecie
Ludzkie istnienie moje...

a przed nim:

Blask daleki,
Jaki w powietrzu zorza sączy wschodnia,
Łagodną falą oczy me nasyca,
Szum śpiewny, jakby rozpętanej rzeki
Albo sosnowych, psalmujących borów,
Uszy napełnia moje i zachwyca.
Uśmiechy wiosny jasne, nieujęte,
Mgieł senne widma drżące od kolorów
Słaniają mi się w bezkreślnem przestworzu,
Głęboki grozy oddech i zwinięte
Węże piorunów pod chmur ciemnym liściem,
Burze drzemiące na obłocznem łożu,
Dreszcz budzą we mnie i pragnienie lotu.

Do wszystkich tych zjawisk zaziemskich, przeczuwanych za życia, upragnionych tęsknotą, tak przemawia duch poety:

O wiatry lekkie, o błękitne fale,
Złote jeziora niegasnącej zorzy;
Wy gór wiekowych olbrzymy milczące,
I wy szerokich równin sine dale,
Wasze mi żywe odemknijcie łona!
Nie obcy jestem—ale po rozłące
Długiej powracam do was—dziecko wasze,
Do was się rwała dusza utęskniona,
Póki ją więził ludzkich praw porządek.

Mylą się mędrkowie ziemscy, mieniący śmierć nieszczęściem. To jest zaspokojenie nieugaszonych na ziemi pragnień:

Wszystko, com miłował,
Co świat fałszywą odmierzał mi miarą,
Ziści się niby sen nad ranem śniony,
Co w muszli serca, jak perła się chował.
. . . .
Tu wszystko prawdą jest i pełnią życia,
A po tej fali Bóg radosny stąpa,
Swe niezliczone widząc w niej odbicia.

Jakiemże było życie człowieka, który z taką rozkoszą zanurza się w toń śmierci, który tak bez żalu i bez bólu odchodzi?

Już nad cbłopięcem jego wezgłowiem stały dwie siostrzyce blade: bojaźń i nienawiść. Widział fałszywą cnotę, obłudną pobożność, dobroczynność opartą napogardzie i pysze, i po czuł zawczasu, że od ludzi dzieli go przepaść niezmierna, że „w domu swoim zostanie bezdomny.“

Widział, jak ludzie ze wszystkich sił, starali się zabić w sobie czystość dusz, słyszał, jak zwali grzechem czyn każdy w tęsknocie duchów spragnionych poczęty, i wydała mu się ziemia budą jarmarczną, w której za pieniądze łamańce wyprawia cnota — olbrzymka i kapłanka Prawda i Poezya — bojownica ideału.

Patrzył na świat kłaniający się pieniądzowi — i na ten drugi, żyjący w otchłaniach, stoczony nędzą i nienawiścią; widział, „jak do kamiennego siadła kołowrotu Nędza, i jęła toczyć nóż...

Z całej tej wędrówki ziemskiej pozostało mu jedno tylko wspomnienie promienne, wspomnienie młodości własnej, — wiary w serca ludzkie, w możność ściągnienia wszystkich marzonych słońc na ziemię.

I opowiada poeta, jak szedł do ludzi z sercem na dłoni, jak wierzył, że w duszach ich pod niepozorną powłoką spi bohaterska moc ukryta, jak szedł ku nim nieśmiały i trwożny, bo mu się wydawało, że najwznioślejszy ton jego pieśni poziomym jest i marnym w porównaniu z tajemnym nastrojem tych dusz. I choć potem rozczarował się, do serca napłynęła mu gorycz i pogarda, w śnie młodości jego była tak wielka siła, że bronił gó przed samym sobą, przed jadem własnego zwątpienia, i po zgonie zachował wiarę młodzieńczą: „że niepodobna, aby tak bez końca, królował życiu duch kłamstwa i nocy.“ Wiarą tą natchniony odchodząc w zaświaty żegna pokrewne sobie duchy: „Was żegnam serca czyste, nieznane, głodne miłości i prawdy... Wiedzcie, że z was są ducha jasne straże, z których na ludzkość blask szlachetny pada. Aż ją przeniknie nawskroś i wybieli.“

„Wyzwolenie” ma niejakie podobieństwo z omawianym przez nas poprzednio poematem Słońskiego. I tu i tam bohater po trudzącej walce z życiem dobiegłszy do kresu, rzuca za siebie pełne smutku spojrzenie. Nawet charakter tych walk zbliżony. Znać, że obydwaj dziećmi są jednego czasu. Podobne bóle szarpały im serca, ale podczas gdy „Szalony“ Słońskiego anemiczny jest w wysokim stopniu i z bladego czoła patrzy mu marzycielstwo bezpłodne — bohater „Wyzwolenia“ i po zgonie nawet ma *życia rumieniec.* To duch, któremu pieśń była czynem, a czyn chciał mieć pieśnią, to ptak z królewskiego orłów rodu. Nawet ta głęboka, ta bezmierna pogarda dla ludzkości wykwitająca na niwie wielkiego bólu, na mogile entuzyastycznej wiary, ma w sobie niezwykłą siłę.

V.

Najważniejszym zarzutem, jaki możnaby postawić poematowi p. Remiszewskiej, jest chaotyczność kompozycyi. Prawdziwie napracować musi się czytelnik pragnący podążyć za myślą autorki, nie zbłądzić po drodze wśród fantastycznych obrazów, nie zgubić nici przewodniej.

W Noc Świętojańską prowadzi nas autorka w głębinę leśną — tam zakwita tajemniczy kwiat paproci, płomienny wieniec, w którym przewijają się przeróżne dziejowe postaci.

Są to obrazy pełne wdzięku. Autorka szczęśliwe znajduje porównania, bogata jej wyobraźnia porusza się swobodnie śród tych fantastycznych motywów.

Oto widmo Wandy ukazuje się najpierwsze:

Cichy ołtarz powiewna okrąża równianka
Coraz szersza, rozluźnia się zwolna, rozplata
Pierwsza leśna konwalia wysuwa się z wianka,
W cień się biały rozwija, powiewna, skrzydlata...
I wzrok duszy ją widzi—jak wznosząc ramiona—
Z falą włosów, co spływa na cudne jej lica
W nurty Wisły się rzuca, co szumi spieniona
I w głębinie przepada bohater-dziewica...

W dalszym ciągu ukazują się Dąbrówka, Kinga, Jadwiga, Barbara i t. d.

Pewna naiwność formy i pomysłów wskazują, że mamy do czynienia z autorką zapewne młodą bardzo—z talentem, o którego sile i wartości zawcześnie byłoby wydawać dziś już sąd.

H. C.

Z Hiobowych pieśni.

I.

Na nieśmiertelnem żywota polu,
Mało jest jeszcze łez rosy,
I jeszcze lemiesz głęboki bolu,
Skib nie odwrócił w niebiosy.

Jeszcze nie przeszedł krój przez zagony,
Jeszcze nie dobył z pod ziemi,
Rodzajnej ziemi, co wyda plony,
Zaszumi kłosy złotemi.

Na brzeżnym oracz zatknął go łanie,
A gdzie rozkroił pierś świata,
Już się na wiosny zbiera świtanie,
Z pieśnią skowronek już lata!

II.

Mistrz prawdy zawsze jest mistrzem bólu,
A chwałą bólu—jest jego chwała.
— Witaj mi cierniem zraniony Królu,
Po cierniach ludzkość ciebie poznała.

Gdybyś był zjawion w złotej obręczy,
Co dyamentowe tęcze rozżarza,
Duch świata, co dziś przed tobą klęczy,
Klęknąłby we łzach u stóp Łazarza.

Marya Konopnicka.

Korespondencya z Paryża

o ubiorach.

12 Marca 1900 roku.

Po skończonym karnawale, gdy toalety balowe spoczywają przez czas postu, nie próżnuje jednak pomysłowość elegantek, chociaż w innym kierunku, bo w milionowem mieście zawsze gotowa sposobność do zgromadzeń publicznych i prywatnych. Obecnie pora koncertów, odczytów poważnych, śpieszy przeto świat paryzki zaopatrzyć się w stosowne ubrania, w materyały zdolne wytrzymać niestałość pogody bez uszczerbku dla gustu i tradycyonalnej paryzkiej elegancyi.

Angielskie wyroby zawsze prym trzymają na praktyczne kostiumy: Corks crew, cover-coat czarne i granatowe, dalej nowość poprzedzona reklamą, sukno tak zwane Drap Louvre w różnych odcieniach na żakietki i bolera bardzo stosowne. Materyały czarne: cachemire, szewioty, Velouté parisien, chwilowo w wielkiem znajdują się użyciu, tak samo jak krepelina, côteline, éalienne, bengaliny w kostkę, a wreszcie więcej ozdobne: Popeline de Lyon, Faille soleil, najświeższych kolorów — régence odznaczające się niesłychaną miękkością tkaniny, wreszcie satin à la Reine koloru pasteli.

Spódnice stanowczo zachowują szeroką fałdę z tyłu; robią się długie z zaszewkami wzdłuż idącemi, haftowane stebnówkami, aplikacyami na tle jaśniejszem; ta fałda zwłaszcza od tyłu przez całą długość spódnicy się ciągnąca, bywa przedmiotem wyłącznych upiększeń, wyszywań i haftów. Bolero króciutkie wykrojone na plecach na tle staniczka innego koloru, cieszy się wielkiem powodzeniem, oraz paski wysokie z kilku rzędami zakładek, z jedwabiu ukośnie krajane. Podszewki tych pasków zaopatrzone bywają w liczne fiszbiny, aby obejmować stan niby nizki gorsecik; paski te zapinają się z boku pod dwiema lub trzema rozetkami, zakończonemi długą i powiewną szarfą z lekkiego jedwabiu lub gazy przybranej ruszkami.

Czarny atłas i aksamit używany jest chwilowo na dzienne wyjścia, na poobiednie wizyty i wtenczas krój tych kostiunów bywa skromny, prawie surowy, gdyż cenność materyału mało potrzebuje przydatków i ozdób, stanowiąc sama przez się najpiękniejszą ozdobę. Suknie te proste mają u dołu lekko marszczoną falbanę, wysoką na 50 centymetrów, której przyszycie kryje się pod galonem dżetowym lub pailletkowym.

Bolero gra tu rolę płaszczyka; krótkie z tyłu, z przodu przedłużone w zęby lub w dłuższe patki, wyłogi wykładane futrem lub ażurowym haftem na białym atłasie.

Na wystawach obrazów, które w tym postnym sezonie otwierają znakomici artyści, zbiera się w godzinach popołudniowych wykwintne towarzystwo, a stroje pięknych lubowniczek sztuki godne są obejrzenia i zanotowania w niniejszej pogawędce.

Suknia czerwona sukienna, gładka, żakietka krótka w całości wyszyta czarnym sutaszem, wyłogi duże i col Médicis. Kapelusz czarny aksamitny formy amazonki, z piórami i torsadą z pąsowej panne.

Kostium z brązowego aksamitu w prążki, formy princesse, zapięty aż do dołu spódnicy na złote rzeźbione guziczki, po trzy zgrupowane w równych odstępach; dół spódnicy, kołnierzyk i bardzo długie rękawy oszyte jaśniejszem brązowem futerkiem, toczek z futra, na nim chou z niebieskiej taftetas, fiołki i egretka biała, mufka maleńka — wszystko się mieści na tym malutkim kawałku sukna: futerko, koronka, fiołki i kokardka ze wstążki, a całość wygląda lekko i zręcznie. W tem właśnie sekret paryzkiego gustu.

Pora tak dżdżysta, że wypada nam co prędzej zająć się płaszczykami, które niby wiosennie wyglądają, ale dzięki wybornym podszewkom z tak zwanej ouatine, przed marcowem zimnem skutecznie chronią, wyjątkowo na słotę wytrzymałe Paryżanki. Długie peleryny sukienne lub jedwabne robią się zawsze z wysokim kołnierzem, rodzajem obojczyka, od którego w duże zakładki lub kontrafałdy spływa właściwa peleryna podbita jedwabiem i zaopatrzona od spodu w praktyczne kieszonki. Peleryny krótsze oszyte są wkoło falbanką z taftetas jaśniejszego koloru, wycinaną w ząbki i bardzo rzęsistą.

Paltociki dłuższe, zupełnie bez wcięcia, gładko puszczone, jak palto męzkie, są zdobne sutaszem, aplikacyą i guzikami; krótsze żakietki aksamitne, sukienne lub morowe (moire velours) bardzo obcisłe, wcięte, z baskiną okrągłą, lub szpiczastem przedłużeniem przodu, bywają bardzo ozdobne, haftowane lub też wykładane na kołnierzu i wyłogach plisowanym muszlinem jedwabnym, obramowanym frizotką zwaną chichi, białą i czarną.

Już i lżejsze peleryneczki się pojawiają z długimi z przodu końcami—prześliczna kombinacya jedwabiu, gazy, ruszek, koronek, pailletek i wstążek.

Kapelusze wiosenne jeszcze zbyt niewyraźnie się zarysowują, aby dać o nich wyobrażenie; modniarki zachowują niespodzianki pomysłu i oryginalności na otwarcie wystawy—kolorowe słomki i snopy kwiatów mają być tłem naszych przyszłych kapeluszy. Na wieczorne wyjścia ku ochronie starannej fryzury mamy śliczne i lekkie narzutki na głowę z kolorowej i czarnej gazy marszczonej w regularnych odstępach, spięte pod brodę wstążką upiętą w misterną kokardkę.

Winnam tu jeszcze zanotować kilka drobnych szczegółów odnoszących się do ozdoby toalety damskiej. Jeden z nich jest nowy i wysoce wykwintny, mianowicie długie pasy jedwabiu lub atłasu malowane akwarelą w delikatne kwiaty i przyszywane na stanik i spódnicę. Pasy te węższe są w górze, a szersze ku dołowi, na czarnych sukniach materyalnych śliczny robią efekt.

Aksamitki przyszywane na spódnicach robią się w nierównej szerokości: 6 rzędów—od dołu szerokie na 3 palce, coraz węższe ku górze.

Kołnierzyki zawsze bardzo noszą wysokie, wyższe z tyłu, jak z przodu, najczęściej robią się osobno ze surah, z wstążki, z panne, prześlicznych kolorów, z kokardą pod brodą. Bar-

dzo praktyczne i ozdobne są te ruchome kołnierzyki, nadają one skromnej sukni pozór elegancyi, zwłaszcza jeżeli dół rękawów przypomina wypustką lub trójkątem kolor kołnierzyka.

Wązkie szaliki czyli eszarpki do noszenia na szyi w salonie i na ulicy, niezmiernej są długości; robią je z crêpe de Chine i są plisowane, marszczone, przetykane wstążeczką, przerabiane wstawkami, koroneczką, frizotkami; jedwabne w różnych kolorach zakończone bywają frendzlą jedwabną albo sznelkową. Obecnie w chwili fiołków, bukiecik tych ulubionych przez paryżanki kwiatków zdobi szarfę spinając ją lekko na piersiach, zarówno jak mufkę, kapelusz, boa z piór czy z koronek, a nawet woreczek jedwabny, z którym niepodobna się rozstać mimo wszelkich krytyk, ze względu na wielką jego praktyczność.

Jeszcze słówko przed rozstaniem. Sezon wiosenny w Paryżu możnaby nazwać nietylko fiołkowym, ale i koronkowym; wystawy sklepowe zarzucone są koronkami, a z pod roztwartych płaszczyków wychylają się całe kaskady zręcznie marszczonych żabotów.

Nowe woalki się pojawiły, naśladujące najwyraźniej siatkę pajęczą, a punkciki w nierównych odległościach, zawieszone na okrągło biegnących niteczkach — to niby muszki złapane!

Seweryna Duchińska.

Notatka statystyczna.

Jedno z pism codziennych warszawskich pomieściło w dodatkowym zeszycie swoim obliczenie cyfrowe ludności polskiej na całej kuli ziemskiej. Wyrachowania tego rodzaju, o ile nie są dokonywane przy pomocy znacznych środków, mają zawsze względną tylko wiarogodność ze sobą; nie bez znaczenia bywa też i metoda sama, jaką się posiłkuje zbieracz materyału cyfrowego. W danym wypadku ponieważ nie idzie nam o kontrolę, a tylko o podanie do wiadomości wyników dokonanych poszukiwań, posiłkujemy się dosłownie tem, co mamy przed oczyma, nic od siebie nie dodając ani ujmując wyrachowaniom. Otóż statystyk takie nam podaje szczegóły co do polaków zamieszkujących różne części świata.

Zaczniemy od Imperium Rossyjskiego, które zamieszkuje największa liczba ludzi naszego pochodzenia.

Najpierw mamy sobie za obowiązek objaśnić, że wyrachowanie dokonanem zostało przed sporządzeniem spisu jednodniowego ludności; autor wyznaje, że do przewidzenia jest zgodność między spodziewanemi cyframi urzędowemi, a temi, które on w pracy swojej zgromadził. Przyjmuje jako zasadę, że ludność Królestwa Polskiego uważać należy jako w trzech czwartych należącą do pochodzenia polskiego; ponieważ zaś spis jednodniowy, sporządzony w roku 1897, całość zaludnienia dziesięciu gubernii Królestwa podał na 9,455,943 głów, przeto odtrąciwszy jedną czwartą na wszystkie inne narodowości, polska ludność wyniesie 7,300,000 po doliczeniu do tego, co wykazał spis czterech procentów przyrostu za ubiegłe lat cztery, to jest do roku 1901. W obliczenie nie wchodzi przeważna część ludności żydowskiej, a to z racyi, że mówi ona w rodzinie żargonem, co ją, w myśl podstawy przyjętej w pracy, od zaliczenia się do tutejszokrajowców wyklucza.

Polaków zamieszkujących Imperium podaje ta statystyka ogółem 2,500,000, a biorąc poszczególne gubernie, wychodzi rzecz tak:

Gubernia.	Ogólna ludność.	Ludność polska.	Procent polaków.
Podolska	3,031,040	304,619	10,05
Wołyńska	2,999,346	316,230	10,61
Kijowska	3,564,433	126,537	3,55
Wileńska	1,591,912	375,691	23,6
Grodzieńska	1,615,815	471,817	29,2
Mińska	2,156,343	288,949	13,4
Mohylowska	1,707,613	76,359	4,47
Witebska	1,502,895	100,840	6,71
Kowieńska	1,549,972	49,761	3,21
	19,719,369	2,100,796	10,6

Liczbę polaków rozproszonych po innych częściach państwa Rossyjskiego podaje autor na 300,009 głów, a dołączywszy tu i powyżej raz przyjęty przyrost ludności, cyfra postawiona z góry będzie usprawiedliwioną.

Z ludnością polską w państwie Niemieckiem załatwia się autor w ten sposób, że po uwzględnieniu wszystkiego, co w tym rachunku daje się powiedzieć za i przeciw, przyjmuje on w Prusach 3,400,000, w reszcie zaś państwa blizko 700,000 i dlatego na całym obszarze Niemiec pojmuje więcej lub mniej umotywowaną cyfrę 4,091,000 głów.

Takie same niemal wątpliwości zachodzą co do zaludnienia polskiego w Austryi. Urzędowa statystyka tego państwa podawała w roku 1880 cyfrę ludności polskiej na 3,238,534 głów, a w roku 1890 na 3,719,232, co z przyrostem w ciągu dziesięciolecia dałoby ludności polskiej w Austryi 4,300,000. Zdaniem autora cyfra ta jest zbyt wysoka także ze względu na żydów mówiących żargonem. Wskutek tego ogół ludności polskiej w Austryi przyjętym jest tylko w wysokości 3,600,000 mieszkańców.

Otóż w ogólnym zbiorze przedstawioną mamy całą ilość polaków zamieszkujących w Europie, Ameryce i *iunych krajach:*

W Państwie Rossyjskiem	9,715,000	głów
„ Austryackiem	4,091,000	„
„ Niemieckiem	4,091,000	„
W Ameryce	1,500,000	„
Na Spiżu i w in. krajach	50,000	„
Razem	18,504,000	głów

Jak to z góry zastrzeżonem przez nas zostało, we wzmiance tej treściwej nic prostować nie mieliśmy zamiaru, owszem podajemy suchą cyfrę, jaką z dochodzeń swoich wywiódł autor. Zwracamy wszakże uwagę na postawione w ostatniej pozycyi 50,000 głów, zamieszkujących Spiż i tak zwane inne kraje.

To znaczy w Europie: Anglię, Francyę, Hiszpanię, Szwajcaryę, Włochy, Turcyę, Skandynawię, a z innych części świata: Azyę, Afrykę, Australię. Zdaje się, że to będzie trochę za mało.

X.

JESZCZE O SANATORYACH

dla suchotników.

Jakoś opornie idzie z zakładaniem uzdrowisk dla chorych tuberkulicznych na ziemi francuzkiej, a jeśli nie opornie, to przynajmniej bardzo ospale w stosunku do panującego tam niebezpieczeństwa.

Jeśli mówić mamy o rzeczach dokonanych, to istnieje jedno sanatoryum dla suchotników dorosłych w Ruel; jest kolonia rolnicza dla rekonwalescentów w Vandremer w okolicy Cannes i zakład żydowski tegoż samego przeznaczenia w Cimiez. Nowobudującego się w myśl ostatnich terapeutycznych wskazań sanatoryum w Hauteville pod Lyonem nie należy brać w rachunek, jako nieotwartego do tej pory, równie jak tego drugiego, które niby z inicyatywy państwa stawia się już od lat pięciu w Angicourt.

A tymczasem suchoty płucne zabierają Francyi rokrocznie 150 tysięcy głów, co w kraju zagrożonym wyludnieniem pobudzić chyba powinno do przedsięwzięcia energiczniejszych niż dotąd środków obrony. O epidemii, któraby przyczyniła jednorazowo tyle mogił, radzonoby z pewnością lata całe; wojnę, któraby pozostawiła po sobie 150 tysięcy poległych przeklinałoby niejedno pokolenie; ze zniszczeniami zrządzanemi stale i systematycznie przez suchoty oswoili się wszyscy, tak, że nawet nawoływania lekarzy mało skutkują.

Ktoby pragnął zajrzeć na dno kwestyi, ten musiałby zacząć od rozważenia, jakie warstwy społeczne dają przeważny kontyngens tym stu pięćdziesięciu tysiącom ofiar. Bez zaglądania do wykazów statystycznych, powiedzieć może każdy, że daninę główną przynosi tutaj nędza. Człowiek możny, który zaczerpnął choroby, a jest w stanie pozwolić sobie na wszelkie środki zaradcze, poczynając od przerwania zajęć, aż do kuracyi klimatycznej, człowiek taki może być wyleczonym, i w samej rzeczy powraca on do zdrowia bardzo często. Ubogi dopóki tylko trzymać się może na nogach, pozostaje przedewszystkiem ile sił przy pracy, a gdy mu ta praca staje się już niemożebną, leczy się u siebie w domu. Bezpośredniem następstwem tego stanu rzeczy jest, że człowiek taki najbezowocniej wyrzucając pieniądze na proszki i mikstury, chyli się nieodwołalnie ku zagładzie — pośrednio biorąc rzeczy zaraża on sobą w ciasnocie mieszkania własne dzieci i jeśli nie udzielił im dotąd zarazka w drodze dziedziczności, zaszczepi im go teraz z pewnością, stwierdzone jest bowiem przez naukę, że chorzy tuberkuliczni są to istotne najpotężniejsze ogniska zarazy. Zobaczmy teraz, jaki jest dalszy przebieg tego posępnego procesu.

Choroba postępuje, jej ofiara niszczeje w oczach, a więc starania, szukanie długie i mozolne poparcia, i nakoniec, gdy się usunie wszystkie trudności i przeszkody, stojący już nad samym brzegiem przepaści, zyskuje ów straszny przywilej pomieszczenia się w przedostatnim etapie jego wędrówki ziemskiej —

w szpitalu. Ostatnim, jak wiadomo, jest gratisowy dół w oddalonym zakątku cmentarza z prawem pozostawania i tam przez określoną tylko liczbę lat.

Nie chodzi nam wszakże w tem miejscu o większą lub mniejszą grozę tego przedsionka śmierci, który zowiemy szpitalem, chodzi nam raczej o to, czy ten przytułek daje jakąkolwiek rękojmię poprawienia stanu zdrowia cierpiącego na tuberkulozę—czy jednem słowem dla chorych na suchoty szpital jest miejscem odpowiedniem?

Zdaniem lekarzy dzisiejszych: bezwzględnie nieodpowiedniem. Powietrze przesycone pyłami zaraźliwymi, otoczenie, na które składają się sami cierpiący beznadziejnie, każdochwilowy widok konających i umarłych, sposób odżywiania przyjęty w szpitalach—wszystko to razem wzięte stanowi sumę wpływów ujemnych składających się tylko na przyśpieszenie ostatniej godziny.

O tem odżywianiu suchotników po szpitalach Paryzkich dziwy istne opowiada jeden z lekarzy tamtejszych dr. Sersiron. Biorąc jako miarę to, co choremu w rodzinie wynalazcza troskliwość blizkich osób obmyśla dla obudzenia apetytu, a co tak często jeszcze okazuje się daremnem, stawia on jako przeciwstawienie ów kocioł koszarowy, który wnoszonym bywa z pożywieniem na salę dla wszystkich bez różnicy, i z którego jakieś odpychające odpadki rzucają przed cierpiącego ani się zakłopotawszy, czy ich pokosztować zechce. Co w takim składzie rzeczy myśleć można o wzmocnieniu odporności organizmu—tej odporności, która w istocie decyduje o wszystkiem? Przecież nie na lekarstwo robione w aptece może nauka dzisiejsza liczyć cokolwiek w procesie cierpienia suchotniczego.

Drugim warunkiem ratowania tego rodzaju chorych jest niezaprzeczenie spoczynek, a to jest także jeden z czynnikow, o których w życiu codziennem szpitala niema co myśleć zupełnie. Jest bo w istocie prawdziwe koło zaczarowane samych sprzeczności w tym raz na zawsze przyjętym trybie postępowania w zakładach tego typu. Choroba wymaga czystości pedantycznej, a wielkie nagromadzenie chorych sprawia, że porządkowanie jest nieustającem, z wyjątkiem może krótkich chwil lekarskiej inspekcyi. Zamiatanie, okurzanie, słanie łóżek, przesuwanie sprzętów, wynoszenie naczyń wszelkich, wnoszenie i zabieranie pożywienia połączone z kręceniem się posługaczy, dozorców i dozorczyń, wreszcie kaszel otaczających i kaszel własny chorego, to przecież wszystko razem wytwarza zgiełk, przy którym zdrowy zupełnie człowiek zasnąćby nie mógł, gdyby nawet resztę wstrętów i obrzydliwości był w stanie powściągnąć.

To jest dopiero kwestya spoczynku fizycznego—o spokoju moralnym co właściwie jest do powiedzenia? Profesor Grancher, lekarz szpitali paryzkich tak się o nim wyraża:

„Nasz robotnik idący do szpitala wie przedewszystkiem jedno, to jest, że opuszczając progi domowe pozostawił za sobą nędzę najbliższych, a w każdy czwartek i w każdą niedzielę podczas wizyt rodziny wtajemniczanym bywa we wszystkie tej nędzy szczegóły najdrobniejsze. Jeśli przytem leży obok innych suchotników, to pierwszy lepszy sąsiad o łóżko wtajemniczy go niebawem, że na żaden dłuższy pobyt nie powinien liczyć. Albo mu się nie poprawi i wyjdzie ztąd na cmentarz, albo za pierwszym symptomem na lepsze pokażą mu drzwi, bo łóżko potrzebnem jest dla innych. A zresztą, przyznaje dr. Grancher, że jak tylko raz lekarz stwierdzi u chorego tuberkulozę, stanowczo przestaje się nim zajmować, bo wie z doświadczenia, że nauka w tych warunkach nic dla chorego dokazać nie może, i że cały proces należy pozostawić biegowi naturalnemu.

Już przed trzydziestu laty lekarz niemiecki Brehmer, a po nim uczeń jego Dettweyler postawili jako zasadę, że jeśli choremu tuberkulicznemu dostarczymy w należytej ilości powietrza czystego, odpowiedniego pożywienia i spokoju, chory taki jeśli nie przyjdzie do siebie całkowicie po upływie sześciu miesięcy, to przynajmniej symptomaty jego chorobne powinny ustać na lat kilka. Na tej podstawie powstały w Niemczech sanatorya dla suchotników.

Wszystko tu jest wprost odmiennie jak w szpitalach paryzkich opisanych powyżej. Obiady mają miejsce w salach widnych i wesołych, urządzonych z uwzględnieniem wszelkich możliwych urozmaiceń dla chorych. Poczynając od obić i obrazów rozwieszonych na ścianach, niczego nie zaniedbują tutaj. Chorzy zgromadzają się w tej sali sześć razy w dniu. Żadne wydzielanie racyi nie ma miejsca, i każdy je wiele chce i tych potraw, które mu w danej chwili najbardziej do smaku przypadają. Oprócz sali jadalnej wspólnej, jest sala zgromadzeń, w której pensyonarze znaleźć mogą zawsze fortepian, billard, szachy, warcaby, domino i t. p., a często bardzo organizują zarządy zakładów takich koncerty, widowiska, odczyty, zawsze z myślą przewodnią przyjścia w pomoc celowi głównemu.

Większa część tych sanatoryów wprowadziła u siebie naukę pewnych rzemiosł dla rekonwalescentów, rozumie się rzemiosł lekkich i nienaruszających zdrowia, jak naprzykład malowanie na porcelanie, fornirowanie, roboty laubzegowe, rzeźba w kości słoniowej, introligatorstwo. Wielu bardzo jest chorych, którzy zaczerpnęli niemocy swojej w zajęciach niezdrowych, takich naprzykład, jakie daje przemysł tkacki, hutnictwo i wiele innych, idzie więc o to, aby tacy opuszczając zakład leczniczy wynosili ze sobą uzdolnienie do rozpoczęcia nowego zawodu.

Nie na tem wszakże ograniczają się dobrodziejstwa tej przewidującej — można powiedzieć—opatrznościowej organizacyi. Wspomnieliśmy już o tem, że troska o byt pozostawionych na nędzę członków rodziny, nie pozwala zazwyczaj ojcu tej rodziny zakosztować w zakładzie chwili spokoju, a tem samem stanąć ona może wpoprzek największej troskliwości i najodpowiedniejszej metodzie leczenia. Sanatorya niemieckie posunęły tedy zbawczą działalność swoją aż do opieki nad rodzinami pozostawionemi przez ich pensyonarzy. Jest specyalna po temu organizacya. A najpierw kasy zabezpieczeń przeciw chorobom, uwolnione od strat, jakich im przyczyniały cierpienia tuberkuliczne, zobowiązały się do wnoszenia pewnych kwot umówionych, które wręczają się wedle podziału rodzinom robotników ubezpieczonych, pozostających na kuracyi w sanatoryach. Niezależnie od tego, dokoła każdego sanatoryum rozciąga się pewna sieć instytucyi dobroczynności publicznej, które biorą na siebie opiekę nad rodzinami pozbawionemi zarobków ojca. Niema tu jednem słowem miejsca na rozpacz, a przynajmniej wszystko zdaje się zrobionem po temu, aby jej nie było, ztąd też można powiedzieć, że stosunek urządzeń szpitalnych do urządzeń sanatoryów odpowiada zupełnie korzyściom osiąganym w pierwszych i drugich.

Sami francuzi przyznają, że u nich dyagnoza tuberkulozy u robotnika jest jego wyrokiem śmierci nieodwołalnym prawie, podczas gdy w Niemczech chwila, w której człowiek ubogi uznanym zostaje jako zagrożony chorobą suchot, robi tego człowieka przedmiotem troskliwości powszechnej, i żadnych wysiłków nie szczędzi w takich razach społeczność, aby śmierci wydrzeć jej ofiarę.

To też w ciągu ostatnich czterech lat sanatorya suchotnicze ludowe w Niemczech dają taki rezultat: Na 100 wypadków umieszczonych w zakładach chorych tuberkulicznych, okazało się 20% uzdrowień zupełnych, a 60% tego rodzaju polepszeń stanu zdrowia, które pozwala robotnikowi objąć napowrót swoje obowiązki z przewidywaniem, że mu sił na jakieś dwa lub trzy lata starczyć powinno. Po tym okresie czasu, a wreszcie i na wypadek każdego pogorszenia, sanatoryum stoi dla niego otworem. Są to cyfry wzięte ze statystyki urzędowej cesarstwa niemieckiego, a zatem mają one za sobą powagę, której kwestyonować nie będzie nikt znający sumienność niemiecką w traktowaniu spraw tego rodzaju.

Przytaczając te cyfry powiada dr. Romme, że gdyby Francya zaszła na drodze tych ulepszeń tak daleko, jak są dzisiaj Niemcy, mogłaby ze swoich 150,000 ofiar corocznie, uratować stanowczo 30,000, a dziewięćdziesięciu tysiącom dać możność dalszego bytowania bez wytwarzania ciężaru dla społeczności. Idzie teraz o to, jak nie poruszając zupełnie strony humanitarnej tego rodzaju przedsięwzięcia, przedstawić je sobie można w bilansie społecznym wyrażającym się w cyfrach — jak udowodnić, że społeczność na pieniądzu wydanym na budowanie sanatoryów robi, mówiąc po prostu, dobry interes. Otóż sfery urzędowe w Niemczech mają sporządzony i tego rodzaju rachunek, a rezultatem osiągniętym z podsumowania i odjęcia od siebie dwóch pozycyj, jest cyfra stwierdzająca znaczną korzyść. Biorąc bowiem za podstawę średnio przeciętną cyfrę zarobkową robotnika (jego wartość społeczną) i liczbę uzdrowień osiągniętych w sanatoryach, które wykazują rocznie na 12,000—z drugiej zaś strony ewentualną stratę, jaką przyczyniłaby śmierć tych 12,000 indywiduów w porównaniu z kosztami poniesionymi na wznoszenie sanatoryów, wypadnie, że społeczność niemiecka na troskliwem leczeniu swoich klas ubogich, zyskuje corocznie na czysto kapitał 8 milionów marek. We Francyi, gdzie suchoty płucne robią zniszczenia o wiele większe, zysk taki dosięgnąłby cyfry 80 milionów franków na rok.

Nie możemy czytelnikowi służyć żadnym precyzyjnym ani żadnym nawet przybliżonym

rachunkiem wziętym z warunków naszych, samo z siebie wypada jednakże, że zysk taki okazałby się i u nas, boć ostatecznie praca jest pracą, a życie ludzkie wszędzie użytkiem i przysporzeniem korzyści ogółowi. Mielibyśmy tedy wyższy stopień zamożności, gdybyśmy umieli i chcieli utrzymać przy życiu tych, których tracimy przez brak umiejętności i brak dobrej woli.

A jest ten brak aż nadto niestety widocznym. Składki na pierwsze nasze sanatoryum idą opieszale, ale za to możemy się pocieszyć, że idą do nas w pokaźnej ilości suknie z Paryża, jak to meldowały „Kuryerki" mianowicie po balu na instytucyę opieki nad biednemi matkami.

S.

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

— Mów—odpowiedziała krótko i tak cicho, że śród gwarnego szczebiotania ptaków ledwie ją dosłyszałem.

— Aby ci, Floro, krótko i bez omówień wyjaśnić, o co idzie —zacząłem zupełnie spokojnie — powiem ci, co zapewne już wiesz, że mianowicie zamierzam się ożenić, i że proszę o twoją rękę. Nie odpowiadaj mi jeszcze, nie skończyłem jeszcze wszystkiego. Uważam za swój obowiązek powiedzieć ci, co cię oczekuje, jeżeli zgodzisz się na mą propozycyę. Nie będzie to życie pełne rozkoszy jedynie, lecz życie poważne, które wszakże dla kobiety rozumnej nie będzie może jednak pozbawione wszelkiego powabu. Folwark, będący całym moim majątkiem, leży śród gór wysokich i gdy otworzysz okno, będzie ci się zdawało, że do Karkonosz ręką sięgnąć możesz. Domostwo me jest stare, posępne, samotne, ale przytulne, gdy wiatr nocami wokół wysokich gwiżdże kominów. W zimie drogi są nie do przebycia, i niekiedy miesiąc cały nie zobaczysz nikogo z sąsiadów. Mówię ci to, Floro, byś rozważyła, czy jestem człowiekiem, z którymbyś przez taki dłuższy przeciąg czasu, samotnie u płonącego jasno ogniska domowego owe nieskończone wieczory zimy górskiej spędzać chciała, gdy—jak Ossyan śpiewa— „niebo wielkie płatki śniegu w dół sypie, a świat drzemie milcząco w ciemnościach."

Zamilkłem na chwilę. Ona podniosła powoli spuszczone oczy, ale nie przemówiła.

— Uważam też za obowiązek — zacząłem znowu - powiedzieć ci kilka słów o sobie, zanim stanowczą dasz mi odpowiedź. Muszę ci powiedzieć, że uważam małżeństwo za sprawę, co do której zimnym należy się rządzić rozumem; ufam, że nie oczekujesz odemnie sentymentalnych deklamacyj, któreby mnie śmiesznym jedynie w oczach twych zrobić mogły. Potrzebuję żony, jaką — według Mojżesza — Bóg stworzył: aby była „pomocą" mężowi swemu. Nie spodziewaj się tedy, abym ci co chwilę powtarzał, jak cię kocham. Nie znajdziesz we mnie żadnego romantyzmu, ani t. zw. poetycznych pojęć o miłości. Sny podobne prześniłem dawno w burzliwem życiu wielkich miast, kędy niejednego doznałem zawodu i rozczarowania. Floro, jestem szczery, i tem może jedynie różnię się od pozostałych mężczyzn, którzy takież same zapatrywania, za obłudną maską kłamanych kryją uczuć. Obiecuję, że będę cię poważał, iż wdzięczny ci będę za „pomoc" twoją; więcej nie przyrzekam ci nic. Po tym wstępie, nie pytam zatem, czy mogłabyś mnie pokochać, lecz spokojnie i zimno zadaję ci pytanie: czy chcesz być moją żoną?

Wstała, twarz jej była blada, chciała mówić, ale zatrzymałem ją raz jeszcze. Przedstawiłem jej najszczegółowiej stan swego majątku i wyjaśniłem, w jaki sposób, przy pomocy jej środków mam zamiar przyszły nasz wspólny folwarczek podnieść i urządzić. Przy końcu tego wykładu powtórzyłem raz jeszcze pytanie, czy chce żoną mą zostać.

— Po cóż się pytasz? — odpowiedziała obojętnie. — Jest to wolą mego ojca, ułożyliście się z nim już przedtem. Nie pozostaje mi nic innego, jak poddać się w milczeniu!

Zdumiały mnie te słowa, a jeszcze bardziej wyraz zupełnej obojętności w jej przed chwilą tak wymownej twarzy.

— Nie wiedziałem doprawdy, że miłość dla ojca tak bardzo wszystko inne w tobie przeważa—odparłem z rozdraźnieniem pewnem.

— Jestem także szczera — odpowiedziała Flora, zaczynając również okazywać wzburzenie. — Nie jest to miłość dla ojca, nie wiem, co to jest, ale gdyby mi kazał, abym się z dachu na bruk rzuciła—uczyniłabym to.

Odpowiedź ta uraziła niezmiernie mą miłość własną.

— Porównanie, zaiste, nie bardzo pochlebne—zawołałem z wymuszonym, sarkastycznym śmiechem.—Zatem tylko woli ojca twego zawdzięczać mam twoją rękę?

— Czemuż innemu? Oczekujesz może, abym ci powiedziała, że mnie oczarowałeś? — odpowiedziała dumnie, i mała, przez niechęć wyciśnięta łezka błysła jej w oku, podczas gdy cicha rezygnacya, którą tak mnie ujęła, znikła z jej twarzy. Duma jej zbudziła we mnie bunt, ogarnęła mnie jakaś żądza walki, srogość jakaś ozwała się w mem wnętrzu.

— Musi drżeć przedemną, jak drży teraz przed ojcem—szepnąłem w myśli—nie zniosę podobnej dumy, podobnego oporu.

Ująłem ją za rękę, jak schwytaną niewolnicę.

— Nie pytam o pobudki twego postanowienia—rzekłem napozór obojętnie.—Dość mi, że zgadzasz się zostać mą żoną.

Wcisnąłem jej zimny pocałunek na czoło. Nie poruszyła się. Zdawało się, że nawet tego nie zauważyła.

— Mam nadzieję, Floro, że do domu ojcowskiego tęsknić nie będziesz—ciągnąłem dalej po chwilowem milczeniu. — Potrafię być dla ciebie równie dobrym i względnym, jak twój ojciec był dotąd. Co ty mi obiecujesz nawzajem?

Pożałowałem zaraz swych słów; nie mogła zaiste, uważać ich za niewczesny żart, musiała widzieć w nich chęć jak najboleśniejszego zranienia jej serca. Rzecz nie do uwierzenia, jacy bezlitośni bywają czasem nawet ludzie, którzy się zazwyczaj za uczuciowych i serdecznych uważają. Niech tylko ktoś dotknie naszą miłość własną, zaraz odezwie się w nas zwierzę.

— A ty co mi obiecujesz? — powtórzyłem zmieszany sam swą gburowatością i starając się głośnym śmiechem obrócić rzecz całą w żart, choćby i nieudany.

— Że spełniać będę swe względem ciebie obowiązki, jak to zawsze czyniłam względem ojca — odpowiedziała cicho, przyciskając ręką serce. Oczy jej pełne wyrzutu, które podniosła była ku mnie, opadły znowu, jakby łzami obciążone, ku ziemi, ale łzy nie uroniła już ani jednej.

Cichym krokiem odeszła przez ogród i znikła w domu.

Zostałem sam pod drzewami, znosząc w rozgoryczeniu ukłucia sumienia z powodu swego postępowania; ale pycha moja nie ugięła jeszcze głowy i w dalszym ciągu zatruwała mi duszę.

Zostałem wierny sobie przez całe popołudnie. Frydecki uradował się niesłychanie, gdym mu rzekł, że wszystko jest w najlepszym porządku, i naznaczyliśmy zaraz dzień ślubu.

Wieczorem pożegnałem się z przyszłym swym teściem dość gorąco, a z narzeczoną, jeśli nie serdecznie, to przynajmniej bardzo przyjaźnie. Zdawało się, że przebaczyła mi moje znalezienie się; nie okazywała najmniejszego śladu urazy, ale o serdecznym, wesołym śmiechu, którym mnie powitała, ani o szczęśliwem, ptaszęcem szczebiotaniu, którem mnie w altance, przed przyjściem Frydeckiego, przez całe rano bawiła i oczarowała, nie było już mowy. Wróciłem do Pragi i nazajutrz rano odjechałem do siebie na wieś.

VIII.

W cichym mym domu zapanował gwar, puste jego sale i komnaty ożywiły się nagle: cała zgraja rzemieślników spadła do mnie, jak klucz ptaków przelotnych, aby minioną świetność i chwałę nowej siedziby Łoszanów, przez wszelakie sztuki, poprawki i przeróbki, nowym otoczyć blaskiem.

Wieści o bliskiem swem małżeństwie udzieliłem zaraz, według starego, patryarchalnego obyczaju, czeladce swej, i stara klucznica z najmilszym uśmiechem na ustach i w najbielszym czepeczku na siwej głowie, złożyła mi w imieniu wszystkich życzenia „szczęścia i długiego panowania." Ona to miała główny nadzór nad restauracyą starego domu, ona stanowiła najwyższą instancyę co do sprzętów, które bądź powynosić, bądź częściowo odnowić kazała. Opierała się wszakże stanowczo i z wielką powagą wszelkim projektom zakupu nowych, modnych mebli. Znajdowała tyle argumentów, mówiła z takiem przekonaniem i tak przekonywająco, że prawie zupełnie i we wszystkich wypadkach zwyciężyła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Kassa literacka.

W dniu 7 Marca odbyło się pod przewodnictwem profesora Struvego posiedzenie komitetu kasy literackiej. Jedną z najważniejszych czynności tego zebrania było ułożenie porządku dziennego przyszłego ogólnego zgromadzenia uczestników, niemniej ułożenie i podanie do zatwierdzenia temu zgromadzeniu przepisów porządkowych tej instytucyi. Termin naznaczono na dzień 5 Kwietnia w sali Towarzystwa hygienicznego, którego rada proszoną została o ustąpienie siedziby swojej na ten dzień.

W myśl ustawy dopełniono losowania trzech członków komitetu; wylosowanymi zostali pp.: Franciszek Nowodworski, Antoni Pietkiewicz i profesor Henryk Struve. Ponieważ według brzmienia § 39 Ustawy wychodzący członkowie mogą być wybrani ponownie dopiero po upływie roku, z tego powodu i wobec ustąpienia poprzedniego z komitetu Henryka Sienkiewicza, ogólne zebranie będzie miało za zadanie wybór czterech członków nowych.

Z innych czynności załatwionych na tem posiedzeniu:

Dopełniono balotowania i przyjęto czterech nowych członków.

Odczytano odezwę kancelaryi Generał-Gubernatora zawiadamiającą, że koncert kasy literackiej w dniu 13 bieżącego miesiąca uwolnionym zostaje od opłaty zwykłej na rzecz teatrów rządowych i miasta.

Przewodniczący w sekcyi dochodów niestałych zakomunikował komitetowi projekt urządzenia trzech wieczorów literackich z pogadankami na obrane tematy. Projekt ten przyjęto w zasadzie i postanowiono wyjednać nań zezwolenie władzy.

Na skutek zameldowania popartego opinią lekarza co do choroby jednego z literatów i jego braku środków, zadecydowano udzielenie stosownej zapomogi.

P. Matuszewski w imieniu redakcyi „Tygodnika Illustrowanego“ wniósł do kasy literackiej rs. 100 otrzymane z rubryki tego pisma: „Grafologia.“

Konkurs pedagogiczny.

Celem uczczenia dwóchsetnej rocznicy urodzin Stanisława Konarskiego, redakcya „Przeglądu Pedagogicznego ogłasza konkurs na napisanie pedagogiki na warunkach następujących:

Dzieło obejmować ma 20 do 30 arkuszy druku. Winno ono zawierać wyłożone przystępnie, a oparte na wynikach najświeższych badań w tej dziedzinie, zasady wychowania moralnego, umysłowego i fizycznego. Nagroda konkursowa rs. 500, honoraryum autorskie rs. 900, przyczem nadmienia się, że wydanie pierwsze w 1,500 egzemplarzach należy do pisma ogłaszającego konkurs. Termin składania rękopisów upływa z dniem 31 Grudnia 1901 roku.

Nowa instytucya.

Z chwilą ukończenia budowy nowego pawilonu przy szpitalu Praskim, zacznie być czynną nowa pracownia Röntgenowska, urządzona wedle najnowszych wymagań nauki i własnym kosztem jej kierownika dr. E. Zielińskiego. Cały lokal pracowni, nie wyłączając nawet jego strony zewnętrznej zastosowany jest ściśle do wskazówek praktykowanych we wzorowo urządzonych tego rodzaju pracowniach zagranicą.

Kolonie letnie.

Wzrasta popularność tej instytucyi, a raczej wzmaga się wiara ludności naszej ubogiej w zbawczość dla organizmów dziecinnych tego środka odżywczego, jaki dają wakacye letnie. Ta popularność i ta wiara stawia jednakże zarząd wobec nieladajakich trudności w roku bieżącym. Od dnia 1 Marca poczynając dwaj lekarze stali kolonii rozpoczęli oględziny dzieci zapisanych na liście wstępnej. Zamieszczono tam ogółem nazwisk 5,400, a że dotąd komitet rozporządza tylko 2,943 miejscami (o 357 więcej niż w roku zeszłym) wypadałoby przeto z liczby kandydatów podanych usunąć blizko 2 500 dzieci. Chcąc zadość uczynić tak wielkiemu zapotrzebowaniu, musiałby komitet zgromadzić jeszcze od 15 do 20 tysięcy rubli—jeśli przytem ma być mowa o zamknięciu roku bieżącego bez deficytu. Idzie tedy jednocześnie i o bardzo znaczne powiększenie funduszu i o wyszukanie kolonii dla tak niespodziewanie zwiększonego zastępu dziecinnego, co przyznać należy niemałe przedstawia zadanie.

Z miasta.

Towarzystwo przeciwżebracze postanowiło na ostatniem posiedzeniu swojem zorganizować w Warszawie tanie kuchnie ruchome na wzór istniejących tego rodzaju zakładów w Berlinie. W tym celu delegowano do stolicy Niemiec pewną grupę osób, celem zbadania warunków technicznych i finansowej strony tego przedsięwzięcia, poczem będzie ono niezwłocznie wprowadzonem w Warszawie. Bezimienny ofiarodawca złożył już na ten cel rs. 3,000.

Komunikują pisma codzienne pożądaną wiadomość, iż rada miejska dobroczynności publicznej zaniechała pierwotnego projektu zakupienia przy ulicy Elektoralnej dwóch posesyi sąsiadujących ze szpitalem św. Ducha, a to dla rozszerzenia tego szpitala. Ponieważ instytucya o której mowa posiada znaczne kapitały własne, przeto podniesiono projekt wybudowania jej filii w odpowiedniejszej miejscowości niż ulica Elektoralna.

Powściągliwe zrazu zgłaszanie się ludności ubogiej Warszawy do zajmowania mieszkań w wykończonych w roku zeszłym dwóch pierwszych domach fundacyi małżonków Wawelbergów, zmieniło się obecnie, jak przypuszczać wolno, pod naciskiem konieczności. Na sto osiemdziesiąt mieszkań, któremi rozporządzał zarząd tych domów, sto pięćdziesiąt jest już wynajętych, pozostałe zaś wedle prawdopodobieństwa wszelkiego zajęte będą do 1 Kwietnia. Komitet budowanych gmachów stara się o rychłe wykończenie w nich ochrony na 100 dzieci, kąpieli, pralni, równie jak sali przeznaczonej na zabawy i zebrania towarzyskie. Niezależnie od ochrony czynione są starania o pomieszczenie w tej posesyi dwóch szkół początkowych—dla chłopców i dziewcząt. W tym domu, który w jesieni roku zeszłego doprowadzono pod dach, zaszły zmiany, mianowicie postarano się aby zamiast 100 mieszkań większych, mieścił on 130 małych, jak okazało bowiem doświadczenie, mieszkania typu mniejszego są bardziej poszukiwane.

OFIARY:

Na nędzę wyjątkową: E. Bezrodecka z Kijowa rs. 2 k. 50.

Na zakład paralityków: E. Bezrodecka z Kijowa rs. 2 kop. 50.

Wskazówki i rady.

Odświeżanie czarnych wełnianych materyałów.

Uprać w wodzie ciepłej z mydlikiem i wypłókać w czystej. 60 gramów brezylii pokrajanej drobno wsypać do płóciennego woreczka, włożyć do kotła z dostateczną ilością wody i zagotować. W gotujący płyn włożyć materyał i gotować pół godziny, poczem wyjąć nie wyżymając, a do kotła wsypać 5—10 gramów siarczanu żelaza (koperwasu żelaznego) i wymieszawszy doskonale, włożyć napowrót materyał. Po półgodzinnem gotowaniu wyjąć bez wyżymania, a gdy zupełnie ostygnie, wypłókać w czystej, zimnej wodzie, i powiesić nie wyżymając, żeby uniknąć zgniecenia. Wilgotny jeszcze materyał zmaglować i uprasować przez płótno, a będzie wyglądał jak nowy. Sposób ten jednak daje się stosować tylko do czysto wełnianych tkanin.

M. G.

Babka ponczowa zwana „Savarin“ (na żądanie).

Babek ponczowych wcale się nie robi. Robią się tylko małe babki ponczowe jako ciastka, lub tak zwane „Savarin,“ ważące zaledwie 1 funt nigdy więcej. Na taką więc babkę upiec koniecznie w formie blaszanej z dziurą w środku babkę jak najlżejszą, nie kładąc do ciasta ani rodzenek, ani migdałów, ani zgoła żadnego zapachu, bo sam poncz nada jej aromat. Taką więc lekką, ledwie funtową babkę, gdy przestygnie, wyrzucić na talerz ostrożnie i łyżeczką od herbaty nasycić całą esencyą ponczową, lejąc z wierzchu ze wszystkich stron równo, uważając aby płyn wsiąkając rozchodził się po całem cieście, nie osiadając na talerzu.

Na esencyę ponczową wziąść funt cukru w kawałkach, kwaterkę wody, wycisnąć w to 5 cytryn przez sitko, zagotować 15 minut, wyszumować, przecedzić przez muszlin, a gdy ostygnie wlać kwaterkę dobrego białego araku, gdyż od ciemnego ciasto by nabrało nieczystego pozoru.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

WYDAWNICTWA

Warszawskiego Akcyjnego Towarzystwa Artystyczno-Wydawniczego.

*Aimard G. Wśród dzikich. Powieść, kop. 30.
Ariel St. Irma. Powieść, r. 1
„ „ Uludy. Powieść, r. 1.
*v. Aveg P. S. Po nitce do kłębka Pow. k. 15.
*Barret J. Lygia. Tragedya, kop. 30.
*Boret M. A. Wyspa szmaragdowa. Pow k. 30.
*de Bou ard Baronowa. Omyłka. Pow. k. 40.
Boży gród. Powieść, kop. 30.
Brewer i Moigno. Wiedza. 2 tomy r. 1 k. 20; w ozdob. oprawie r. 2 kop 10.
*Bulwer Litton E. Rienzi. Pow. 2 tomy k. 60.
*Cravford F. M. Po uczcie Baltazara. Powieść, kop. 25.
Daudet A. Historya starego okrętu, kop. 20.
*Daurit. Śmierć Europie. Powieść, tom 2-gi (ze streszczeniem 1 go tomu) kop. 60.
Dygasiński A. Złamane życie. Pow. kop. 80.
*Ekstein. Neron. Pow. 3 tomy, kop. 75.
*Faure le. Pod cudzem nazwiskiem. Powieść kop. 50.
Fehling D-r. Przeznaczenie kobiety. kop. 35.
Flaum M. D-r. Hygiena żywienia. kop. 60.
Gamaston. Wiara, Nadzieja i Miłość. Nowele z ilustracyami R. 1 kop. 50.
*Gautier J. Obrońcy grobu świętego. Powieść kop. 30
*Gebhart E. Na stolicy Piotrowej. kop. 30.
Gliński K. Kwiaty bez woni. Powieść R. 1.
Grabowska Z. Siła krwi. Powieść kop. 60
*Hauff W. Lichtenstein. Powieść kop. 40.
*Jokaj M. Co może kobieta. Powieść kop. 25.
Junosza Kl. Wnuczek. Nowele kop. 80.
„ „ Z pola i z bruku. Nowele k. 80.
„ „ Ojciec Prokop. Biografia k. 20.
Konar. Pierwsza miłość. Powieść R. 1.
Kosiakiewicz W. Rozpieszczona dziewczyna. Powieść R. 1 kop. 20.
Królewna. Powieść z włoskiego kop. 30.
*Lanusse Ks Pod Sedanem. Powieść kop. 20.
Laskowski. Zużyty. Powieść R 1.
*Lenotre G. W mętnej wodzie. Powieść k. 30.
* „ Szpilka. Powieść kop. 30.
* „ Odkupienie. Powiesć kop 30.
*Loriot F. Tryumf krzyża. kop. 15.
*Loti P. Podbój. kop. 15.
Łada J. O duszę. Powieść kop. 85.
*Marshall. Westalka. Powieść kop. 30.
Margueritte P. i W. Klęska. Powieść k. 75.
*Merimée P. Dwór Karola IX. Pow. kop. 30.
Miecznik. Owanes Ohana. Powieść R. 1 k. 20.
Ołtuszewski W. D-r. Hygiena mowy. k. 30.
*Rivièr H. Kain. Powieść kop. 15.
Rogosz J. Przez boleść i miłość. Pow. k. 80.
Saint-Vincent D-r. Przed przybyciem lekarza. R. 1; w ozdobnej oprawie R. 1 k. 45.
*Serce za serce. Powieść kop. 20.
*Śladem śmierci. Powieść. kop. 50.
*v. Spielberg J Skarb wielkiej armii. Pow. kop. 45.
*Stanley. Weyman. Wilk. Powieść k. 30.
*Summer M. Krwawe dziedzictwo. Pow. k. 30.
Synoradzki M. Zatrute owoce. Pow kop. 75.
*Thierry G. A. Za drugiego cesarstwa. Pow. kop. 20.
*Ulbach L. Biała kokarda. Powieść kop. 20.
*Werner C. Fata Morgana. Powieść kop. 50.
Zacharyasiewicz J. Herb na giełdzie. Pow. kop. 75.
Zawadzki J. D-r. O trawieniu. kop. 45.
„ Ważniejsze zdrojowiska. kop. 35.
Zurcher i Margolle. Siła woli. Pow. k. 60.

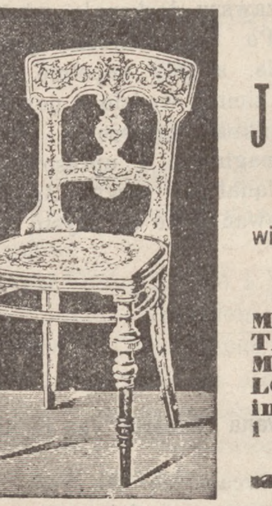
Wydawnictwa dla dzieci i młodzieży:

Bzowska. Wirginia. kop. 25.
Esteja. Królewicz Kędziorek, wydanie wytworne, w oprawie R. 2.
Gębarski St. Gród Molocha. kop. 25.
„ Robinson Tatrzański. Karton. R. 1 kop. 50; w ozdob opr. R. 2.
Gomulicki W. Niedziele Romcia. Karton. R. 1 kop. 50.
Grabowski Br. Kolega Julka. kop. 70.
Jerlicz E. Krewni. kop. 80.
Morawska Z. Z dziejów słowian kresowych. kop. 25.
Teresa Jadwiga. Aktea. kop. 25.
„ „ Orle skrzydła. kop. 25.
„ „ Talizman Janka. kop. 25.
„ „ Dwie siostry. kop. 25.

Za przesyłkę pocztową dolicza się po kop. 15 od każdego rubla.

UWAGA. Powieści, których tytuły poprzedzone są gwiazdką *, sprzedają się grupami, po 12 tomów do wyboru za R. 1 kop. 50, a z przesyłką pocztową za R. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach oraz w Administracyi „Tygodnika Mód i Powieści" — w Warszawie, Chmielna 26.









Od Redakcyi „Gazety Polskiej.“

Redakcya „**Gazety Polskiej,**“ wydawanej w Warszawie wraz z **Bezpłatnym Dodatkiem tygodniowym (co tydzień książka objętości 10 arkuszy druku, corocznio 52 tomy)**, zawiadamia czytającą publiczność polską, że:

52 TOMY

W dniu 15|27 Lutego r. b. Główny Zarząd Spraw Prasowych zezwolił na drukowanie w Dodatkach bezpłatnych do „Gazety Polskiej“ nietylko powieści i poezyi, ale również dzieł z zakresu literatury, historyi, nauk przyrodniczych i geografii.

Codzień Gazeta
Co tydzień książka
Co rok 52 tomy.

Wobec tego doniosłość wydawnictwa **Dodatków książkowych do „Gazety Polskiej“** znacznie się rozszerza.

Oprócz dzieł **powieściopisarzy i poetów**, znajdą się w nich dzieła **krytyków, historyków literatury i sztuki, biografów, historyków państw i narodów, uczonych przyrodników, podróżników i t. p.**

Biblioteki domowe, formujące się z Dodatków Bezpłatnych do „Gazety Polskiej“ obejmą teraz **rozległe obszary myśli we wszystkich jej objawach twórczych** i staną się nietylko źródłem **wrażeń estetycznych**, ale i narzędziem **kształcenia umysłów i zbogacenia wiedzy.**

Cena „Gazety Polskiej“ wraz z Bezpłatnym Dodatkiem 53 tomów rocznie dzieł powieściowych, historycznych, literackich, naukowych, podróżniczych itp. **W Warszawie:** Rocznie rs. 9,60; Półrocznie 4,80; Kwartalnie 2,40; Miesięcznie kop: 80. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rs. 12; półrocznie rs. 6; Kwartal. rs. 3

Adres Redakcyi: **Warszawa, Warecka 14.**
Redaktor i Wydawca **Jan Gadomski.**

Дозволено цензурою. Варшава, 29 Февраля 1900 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**
Wydawnictwo i Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.